№ X. Cena 2 m.

Łazik



TEN TU BOSY, TEN OBDARTY, Z ZABRUKANYCH KWATER —
TO NAJPIERWSZY SYN OJCZYZNY, WOLNOŚCI BOHATER.

OJ, NIEMASZ, JAK PIECHOTA.

(NA NUTĘ: „OJ JECHAŁ JASIO Z WOJNY"...)

Oj, niemasz jak piechota,
To bractwo jest morowe:
O nic się nie kłopota,
Nawet o swą głowę!

Oj, dana-dana-dana
Oj, dana dana-dana
O nic się nie kłopota, nawet o swą głowę!

Żyje se jak ten wróbel,
O nic się nie frasuje,
A jak mu czego braknie,
To se wyfasuje!

Oj, dana-dana-dana i t. d,

Do bitki, do wypitki,
Ma we łbie różne zbytki,
A zwłaszcza do dziewuchy —
Byle nie za brzydkiej!

Oj, dana-dana-dana i t. d.

A kto mu tam dorówna,
Jak wali na bagnety!
Jak byka bolszewika
Sieka na kotlety!

Oj, dana-dana-dana i t. d.

Jak kto ma boja w sercu,
Niech tu nie idzie aby,
Niech tam się zadekuje,
Pod kiecką swej baby!

Oj, dana-dana-dana i t. d.

Szer. KONRAD TOM

DO POLSKIEGO ŻOŁNIERZA.

Nie wy, giełdziarze, Polskę ocalicie,
wy jeno z worem złota dziś w przymierzu—
ale twój bagnet Ojczyźnie da życie,
polski żołnierzu!

Przed tobą Polska cała schyli głowy
prawy wskrzeszonej Ojczyzny snycerzu,
bo wziąłeś na się dziś laur Batorowy,
polski żołnierzu!

ZYGMUNT ZALESKI.

BOLSZEWICKIE STATKI PODWODNE.

— Panie poruczniku melduję, że bolszewicy byli w tamtej wsi i zaopatrzyli się w statki podwodne.

— Co też ty pleciesz? Jakie znów statki podwodne?

— Ano, tak. Wpadli do dworu, zabrali wszystkie statki z kuchni i na podwodach wywieźli.

ŻNIWO DLA PRACZEK.

— Jakże tam pani sąsiadce idzie teraz pralnia? Chyba nie tęgo; tyle młodzieży poszło do wojska...

— E, nie mogę narzekać. Choć ubyła klientela, co poszła do wojska, ale za to ci, którzy nie poszli, ze strachu nieraz po trzy razy dziennie zmieniają bieliznę.

U LEKARZA.

— Wam co jest?

— Dyzerterja, panie kapitanie.

— A to znów co za choroba?

— Bo, panie kapitanie, co ino w gębę włożę, to zara do tyłów i dezerteruje.

POMOC.

— Wicek, cholero jedna, patrzałeś, jak mnie czterech prało, a palcem nie ruszyłeś?... Toś ty taki przyjaciel?

— A co miałem robić? Przecież cały czas ci mówiłem: nie bij się, przestań.

— Dobry sobie! Jakże miałem przestać, kiedy nie ja biłem, lecz mnie bito i przestać nie chciano.

— Ale w każdym razie nie możesz powiedzieć, że ci nie udzieliłem pomocy moralnej.

— A idź-że do choroby z taką pomocą!

— Uspokój się i nie gniewaj się. Za to, daję słowo, że jak ty będziesz górą, napewno ci pomogę.

SZYLD KRAWCA,

ŻYDA W KOZIENICACH.

„Polski, Legioński Krawiec Warszawski".

(R. 1916.)

SKAUTKA.

(Na nutę: „Mama mi mówi, że ja nie rosnę".)

Mam lat piętnaście i serce pełne
Więc nie owijam sprawy w bawełnę:
Ja chcę wojować, bić bolszewika
A mama mówi mi, że mam bzika:
Toż nie przystało harcerskiej druhnie
Szyć i cerować i dbać o kuchnię.
Więc mi wojować, bić się nie brońcie
Ja się napewno przydam na froncie.
Mama się gniewa, rączkami macha
A ja się śmieję ha-ha-ha-ha-ha...
Tata się także na mnie oburza
Ale ja gwiżdżę, bo jestem duża.

Stefka Fruwalska, ta co ma piegi,
Dostała się do kobiecej Legji,
A Zocha Prztycka, ta chuda, ryża,
Jest w lazarecie Białego Krzyża.
Mnie nie przyjęli, mówią: za młoda,
Ale że we mnie wre krew nie woda,
Chcę rżnąć i strzelać, więc mi nie brońcie.
Ja się na pewno przydam na froncie.
Mama się gniewa rączkami macha,
A ja się śmieję ha-ha-ha-ha-ha
Ale kto dzisiaj mamy się pyta
Ja chcę wojować, bo chcę i kwita...

Każdy coś robi z frontu czy w tyle,
A jeszcze ludzi potrzeba tyle!
Tchórze od frontu jak mogą stronią,
Ale ja pójdę, ja Bronia—z bronią.
Niech no bolszewik wpadnie mi w ręce,
Wyrwę mu nogi i łeb ukręcę,
Włosy wyskubię oczy wydrapię
Jeszcze na deser dam mu po papie...
Gdy się załatwię tak z bolszewikiem
To pewnie będę podporucznikiem;
A jak mi zechcą dać niższą szarżę
To się Dziadkowi zaraz poskarżę...

TOMCIO PALUCH.

PIOSNKA O KUCHNI.

W Polonji, w Astorji,
Ani w Udziałowej,
Jeść ci tak nie dadzą
Jak w kuchni polowej!
Zupę z grochu, kaszy,
Napitrasi kucharz:
Pachnie ci to jak perfuma,
Gorące, że dmuchasz!
Gdy się najesz, brzuch ci spuchnie.
Kto ma teraz, kto ma taką kuchnię?

Refrain. Kuchenko, kuchenko,
Cóżeś ty za pani,
Że się garną tak do ciebie
Chłopcy malowani?
Kuchenko, kuchenko,
Urocza panienko,
Każdy łyżką w tobie grzebie,
Bo kochamy ciebie.

Kraszone zacierki
Z kawalątkiem sperki,
Lepsze jadło niż z talerza
Z żołnierskiej manierki.
Gdy kruszyna mięsa
W zupie się wałęsa
Każdy żołnierz okiem łypie
Do takiego kęsa!
A gdy tylko granat gruchnie,
Wiara krzyczy: Ratuj kuchnię!

Refrain. Kuchenko, kuchenko,
Cóżeś ty za pani,
Że się garną tak do ciebie
Chłopcy malowani?
Kuchenko, kuchenko,
Urocza panienko,
Każdy łyżką w tobie grzebie,
Bo kochamy ciebie.

Gdy nas pan porucznik
Do ataku wiedzie,
To dymiącą kuchnię
Prowadzi na przedzie.
Dobrze zna żołnierzy
Nasz porucznik dzielny,
Bo za kuchnią każdy pójdzie
I w ogień piekielny!
Gdy z niej w obiad para buchnie,
Każdy śpiewem wita kuchnię:

Refrain. Kuchenko, kuchenko... i t. d.

J. TUWIM.

S I E D M I O M I



Antek Makolągwa legun był morowy,
Jak makówki kosił bolszewickie głowy.



Cofać się nie lubił — to dobre dla raka!
A kiedy już musiał, to szedł na bosaka.



Na cofanie, psia krew!—nowych butów szkoda!
Sprzedał buty, wypił i zasnął jak kłoda.



Śpi Antek, psia jucha, chociaż nie ma łóżka;
We śnie doń przyłazi jakaś dobra wróżka:



Nie martw-że się Antoś, nie bądź taki struty
Tu siedmiomilowe masz w prezencie buty! —

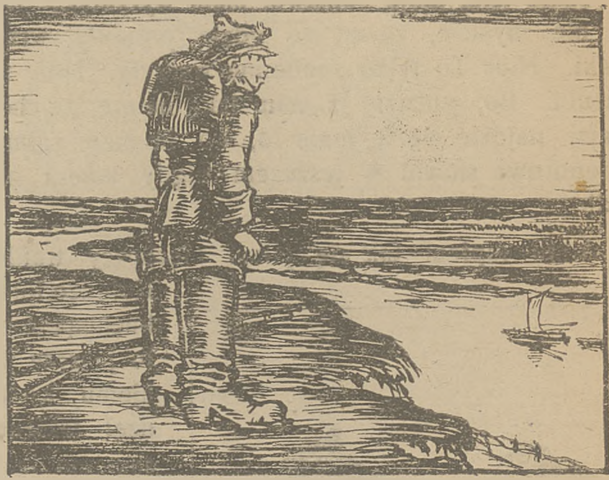


Zbudził się nasz Antoś i ślepia przeciera,
Niema wróżki, są buty, wielgie jak cholera!

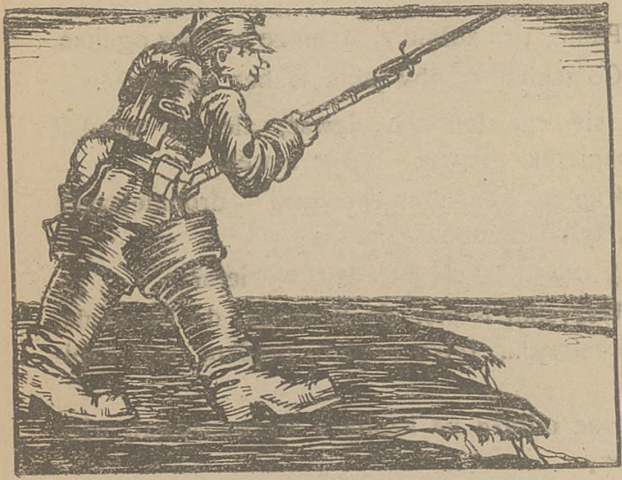
L O W E   B U T Y.



A na każdym bucie wypisane z boku:
Naprzód tylko iść wolno, a w tył—ani kroku!



Co za djabeł?—pomyśli, ale po namyśle
Wdział te srogie buciska i stanął przy Wiśle.



Ujął mocno karabin, bo to nie na bujdę!
Oj! trzymaj się moskalu — teraz naprzód pójdę!



Odbił się nasz Antek i ruszył z kopyta,
Odtąd tylko rżnie naprzód i o nic nie pyta.



W bolszewickiej gromadzie gwałt się zrobił dziki
„Antek-legun tu wali! Spasajś bolszewiki!"



Co krok zrobi nasz Antoś—siedem mil odwali
Wieją het, bolszewiki — prościutko do lali!

CO MOWI ŁAZIK?

Takie tera, moje państwo, mam wyrzuty!... no zara nie myślcie, że mi się gdzie porobiły wrzodzianki. Nie! To tylko sumienne wyrzuty. Niby na sumieniu. Bo, widzicie ja mam taką naturę, że choć czasami najdzie się u mnie to, co innemu zginie, ale honorowe słowo! — jeszczem nigdy kolegi nie okradł.

A tu raptem tak się jakoś niechcący trafiło. Koledze forsę buchnąłem. I to jeszcze jakiemu koledze: takiemu samemu łazikowi, jak ja. Bo choć on nawet i cywil, ten Walery Ogórek, ale łazik z łazików.



Wąsiska ma sumiaste, kałdun od frontu, jak się patrzy, a monety — oho! Nie doliczysz się. W piętnastym roku wyłazikował aż do nieboszczyka Pietrogradu, jako że na miemieckiego pietra dychawicy dostał. Potem znów łazikował po całej Rosiei — matuszce, aż wziął i z fasonem do Warszawy wrócił z kieszeniami pełnemi forsy.

Wystroił ci się galanto: brytańskie sportki, żółte świcące sztylpedały... Na oko taki foks-troter, że nie przystępuj bez meldunku. Piersi se całe obwiesił mentalami: a to z czerwonego krzyża, a to z białego, tam znowuj mu dynda marynarski znaczek tow. wioślarskiego, na klapie—guzik ze związku kupców... E! ktoby tam zliczył wszystkie te blaszane i kolorowe dekorajce. Nawet miał przypięty mental za to, że wielką grzeczność Ojczyźnie zrobił i pożyczkę kupił od rodzenia Polski.

Zaczął znajomym opowiadać, jaki to on gieroj— cierpiętnik narodowy; a kiedy przyszło po ulicach na pamiątkę dawnych bohaterstw kupą łazić, sztandary cechowe wietrzyć, pieśni chórem fałszować i wiwatować—zawsze pan Walery szedł w pierwszym szeregu, a minę taką ci miał wojacką, wąsiskami tak groźnie ruchał, że myślałbyś, prosto pod Racławice wali.

A on tymczasem, naspacerowawszy się, nakrzyczawszy, do kawiarni wstępował, z kawiarni — pod pierzynę i całą noc żonie spać nie dawał, ino przez sen wciąż szedł na bagnety.

Więc jak to było w Warszawie takie zamieszanie, bo Trockiemu trochę pilno było na Nalewki, spotykam mojego Ogórka na stacji kolei wiedeńskiej. Ano, wpadłem tam na chwilę, bo zawsze lubię zajrzeć, gdzie ścisk, pisk i pośpiech.

Stoi mój pan Walery, ślepiami na wszystkie strony łypie... Kobitę swoją posadził na kufrach, a sam coraz to innego numerowego za rekaw łapie, stówkę do garści wtyka i modli się, żeby mu bilet kupił. Więc jak me zauważył, zaraz podbiegł i powiada:

— Panie, pan żołnierz, to może pan bez ogonka.

— Co takiego? Niby jakto ja bez ogonka?...

Już się chciałem pogniewać, ale mi wsadził w rękę papierek. Patrzę—tysiąc marek.

— Kup mi pan bilet—powiada — drobniejszych nie mam, tylko prędko.

— A dokąd to się dziedzic wybiera?

— Wszystko jedno: do Krakowa, do Poznania, do Częstochowy!... tylko prędko, prędko, mój kapitanie.

Tak me odrazu na kapitana wyawansował, więc powiadam:

— Już się robi.

Chciałem się dopchać bez kolejki do kasy, ale mnie odstawili. Co robić! Staję w ogonku, a długi ci był, że możnaby brygadę sformować — no i stoję. Przeszła godzina, przechodzi druga, trzecia ja furt czekam. Nareszcie dolazłem do okienka, kupiłem bilet do Milanówka, idę szukać mojego dziedzica, ale śladu po nim już niema. Pytam ludzi. Powiadają, że był, ale już go jakiś tam numerowy do wagonu załadował i razem z manatkami do Sosnowca wyekspedjował.

Gdzie tera ten gieroj łazikuje — niewiadomo. Ale przecie szukać go nie będę, bo by mi urlopu nie dali. I takem niechcący kolegę łazika oskubał. Ino mam nadzieję, że jak się znów zaczną manifestacje, a szczególniej w rocznicę szczęśliwego obronienia Warszawy od bolszewickiego najazdu, z pewnością pana Walerego spotkam i pewien jestem, że będzie najgłośniej ryczał, największy sztandar nosił i najgroźniej wąsiskami ruchał.



Dobra jest piechota, dobre są ułany...
Kogo by tu wybrać?... Chyba na przemiany.

PROSTY SPOSÓB.

— Panie, poradź mi pan, co zrobić, żeby mnie nie wzięli do robót przymusowych?

— Hm... A zdrów pan?

— Jak ta rybka.

— Ma pan gdzie jakie zajęcie?

— Żadnego.

— W takim razie mam dla pana doskonały sposób.

— Słucham

— Wstąp pan do wojska, to będziesz sam pędził innych na roboty.

ROZRZUTNA.

— Salomon, co ty się tak ciągle gniewasz na swoją żonę?

— Jak się nie mam gniewać, kiedy to taka rozrzutna kobieta. Ledwo oczy otworzy, już woła—pieniędzy. Na obiad — pieniędzy. Wieczorem — pieniędzy.

— No i co ona robi z taką masą pieniędzy?

— Bo ja wiem? Ja jej nie daję.

DZISIEJSZE WYCHOWANIE.

Pan Pomeranc wraca z dalekiej podróży i zastaje córkę swoją Reginę, mimo panieńskiego stanu, przy nadziei. Robi awanturę żonie i postanawia dowiedzieć się, kto jest sprawcą nieszczęścia.

— Reginka, ja cię bardzo proszę, powiedz, kto to taki?

Ale Reginka zacięła się. Stoi, jak słup soli i nie daje żadnej odpowiedzi.

— Reginka, pókim dobry, mów, bo zobaczysz!

Milczenie.

— Reginka, słuchaj, dlaczego ty nie chcesz powiedzieć?... Ty musisz powiedzieć!

— Kiedy... kiedy...— bąka wreszcie panienka.

— No co?.. No gadaj!..

— Kiedy... ja... nie wiem...

Usłyszawszy to, pan Pomeranc, zwraca się z wściekłością do żony:

— Masz, Fela, dzisiejsze wychowanie: panienka umie po francusku, po niemiecku, po angielsku i na fortepianie także. A jak jej się coś podobnego trafi, to ona nie ma tyle sprytu, żeby zapytać, z kim mam przyjemność?



Budienny srogi generał,
do tyłów nam się dobierał.
Dobierał nam się do tyłów,
z przodu zaś walił Brusiłów.

A na tyłach Polska cała
drzemała i paskowała.

Niosą sowdepskie gieroje „—
hasło: co twoje—to moje!
Pędzi gieroje Budienny
do wioski cichej a sennej.

Konie kacapów poniosły
tam, gdzie ino ceny rosły.

Aż nadeszła taka chwila —
Budienny zbudził cywila.
Powstał naród i dziś trzepie
matuszkę — Rosję w sowdepię.

A widzisz, panie Brusiłów—
nie dobieraj się do tyłów.

KUZYNOSTWO.

— Wacek!
— Co?
— Na masz, zabij ją.
— Co takiego? Kogo?
— Znalazłem na mojej poduszce blondynkę.
— To sam ją sobie zabij.
— Także coś! Będę własną kuzynkę mordował? Przecie to moja krew w jej żyłach.

STRATNY.

— No cóż, panie Walenty, chwała Bogu, bolszewików djabli wzięli.

— Hm, tak... Ale po sprawiedliwości, nam, kupcom należy, się odszkodowanie.

— Jakto?

— Popatrz pan tylko, jakie ceny w Rosji, a jakie u nas?



— Co tak żałujesz tego dulca! Nie możesz w moją stronę dymu puścić?

DOBRY INTERES.

— Słuchaj, zydzie, pozyc 10 marek.

— Macze, Wojczechu, 10 marek, ale za tydzień oddacie mi 20.

— Niech bedzie.

— Wicze co, Wojczechu... Skąd wy weźmiecze odrazu 20 marek? Dajcie mi teraz połowe, a za tydzień drugą połowe.

— Ano, niech bedzie.

Chłop, oddaje 10 mk., które dopiero co wziął i medytuje:

— Dziesięć marków dał, dziesięć marków jestem winien... I, cholera, zyd ma recht!...

WARSZAWA 5-GO WRZEŚNIA 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK“ Druk S. Michalskiego Chmielna 60.